

Znaczenie Boliwii

15 października 2020

Już na dniach, 18 października, odbędą się w Boliwii przedterminowe wybory prezydenckie. Będą oznaczały albo zakończenie rządów zmilitaryzowanej prawicowej klikki, która w listopadzie minionego roku dokonała zamachu stanu, odsuwając od władzy wybranego dopiero co na kolejną kadencję Evo Moralesa – albo kulminację tego zamachu i przypieczętowanie jego rezultatów, a także umocnienie reakcyjnej fali, która zagarnia kontynent od mniej więcej 2015 roku.



Na pierwszy rzut oka, na podstawie serii przedwyborczych sondaży, trudno się spodziewać, by startujący z namaszczeniem Moralesa kandydat jego partii MAS, były minister gospodarki w jego rządzie, Luis Arce, mógł te wybory przegrać. Niektóre przewidują dla niego ponad 40 proc. głosów, co oznaczałoby zwycięstwo w pierwszej turze. Inaczej niż w innych znanych systemach prezydenckich, konstytucja andyjskiej republiki nie wymaga w tym celu przekroczenia progu 50 proc. Wystarczy czterdzieści, pod warunkiem, że równocześnie osiągnięto przewagę co najmniej dziesięciu punktów procentowych nad następnym w kolejności kandydatem. Póki co, dwóch następnych w kolejności kandydatów (prawicowych), Carlos Mesa i Fernando Camacho, może się spodziewać po odpowiednio w okolicach 26 i 14 proc.

Znaki zapytania

Wszyscy jednak pamiętamy, że sondaże i rzeczywiste wyniki głosowań wzięły w naszej galaktyce rozwód. Trudno przewidzieć, jakie zaburzenia spowoduje pandemia koronawirusa. Może w dniu wyborów zdemobilizować niektóre elektoraty albo niektóre regiony kraju. Może też spowodować realne utrudnienia w

oddawaniu głosów. Może też zostać w ostatniej chwili wykorzystana przez samozwańczy rząd Jeanine Áñez jako pretekst do stworzenia takich przeszkód ad hoc. Bo rządząca w wyniku zeszłorocznego zamachu stanu klika już trzy raz odwoływała wybory, by ogłaszać je potem ponownie, w innym terminie, przyciśnięta presją społeczną. Nie wiadomo, jakie sztuki poskręcała w kuluarach w czasie w ten sposób pożyczonym. Wiadomo natomiast, że sposób, w jaki przechwyciła rok temu władzę, a także to, co z tą władzą robiła przez miniony rok (ekonomiczne zwijanie kraju, przemoc wobec lewicy i dziennikarzy, w tym nawet masakry na ulicach miast), dają jej aż zbyt wiele powodów, by chwytać się teraz wszystkiego, w tym lekceważenia prawa i otwartej przemocy policyjnej i wojskowej, byle tej władzy nie oddać. Przemoc prawicowych bojówek już terroryzuje ulice niejednego miasta. Sam Arce zdaje sobie sprawę, że może być w realnym niebezpieczeństwie.

Kolejnym czynnikiem sprawiającym, że nic nie jest przesądzone, jest ogłoszona niemal w ostatniej chwili (17 września) rezygnacja samej Áñez z kandydowania. Jest tak niepopularna (znalazła się na czele przewrotowego rządu tak przypadkowo, że nie ma wielu fanów nawet na prawicy), iż jej start oznaczałby tylko rozdrobnienie głosów prawicowych pomiędzy zbyt wielu zbyt słabych kandydatów. Ale trudno teraz powiedzieć, dokąd trafi osierocone po niej potencjalne 5 proc. głosów. Gdyby wszystkie zgarnął Mesa, przewaga Arcego może być za mała, żeby obeszło się bez drugiej tury.

Tak jak nadchodzące wybory mogą być kulminacją zeszłorocznego zamachu stanu – tak sam ów zamach stanowił kulminację koordynowanej z Waszyngtonu, wysiadywanej cierpliwie już przez administrację Obamy, ale ostatecznie domkniętej przez Trumpa, reakcyjnej ofensywy, która zmiotła już w Ameryce Południowej prawie wszystkie rządy lewicowej „różowej fali”. Z oryginalnej „różowej fali” nieprzerwanie u steru pozostaje już tylko „boliwariański” rząd w Caracas, choć jest dzisiaj bladym i krzywym, jeżeli nie rozbitym, odbiciem swoich początków.

Centrolewica wróciła do władzy w Buenos Aires, ale po bolesnym ultraneoliberalnym interludium pod postacią prezydentury Mauricio Macriego. Natomiast Lenin Moreno w Ekwadorze, choć wygrał wybory jako „następca i kontynuator” Rafaela Correi, już u władzy dokonał szokującej wolty i przeszedł na „złą stronę mocy”.

Republika Środkowych Andów

Boliwia jest w Ameryce łacińskiej zarazem wyjątkowa – i wyjątkowo typowa. Wyjątkowa, bo jest jednym z zaledwie dwóch (jeszcze tylko Paragwaj) państw na zachodniej półkuli, które nie mają dostępu do morza. Dostęp ten (pod postacią pasa lądu przeciągniętego na zachodnią stronę Andów) utraciła w wojnie, którą ona i Peru przegrały z Chile w 1883. Odcięcie andyjskiej republiki od wielkiej wody podniosło do kwadratu jej cechy typowo latynoamerykańskie, takie jak uzależnienie od pośredników zbijających kokosy na obrocie jej surowcami na rynkach światowych. A jest czym obracać, kiedyś metale szlachetne i przemysłowe, dzisiaj ropa, gaz czy lit. Mówimy o naprawdę bogatym w zasoby naturalne, dużym i geologicznie zróżnicowanym a słabo zaludnionym kraju – ponad trzy razy większa od Polski, Boliwia ma zaledwie 11 milionów mieszkańców. Byłoby co między nich dzielić, a jednak większość Boliwijczyków od setek lat żyła w dojmującej biedzie.

Inna cecha typowo latynoamerykańska, w Boliwii karykaturalnie przerysowana, to bowiem podział na etnicznie „tubylczą” biedotę i kontrolujące całe bogactwo i instytucje polityczne wąskie elity pochodzenia europejskiego, robiące interesy z amerykańskimi korporacjami. Prezydent Gonzalo Sánchez de Lozada mówił nawet po hiszpańsku z nieznośnym amerykańskim akcentem.

Kiedy Juan Evo Morales Ayma, znany na świecie pod dwoma środkowymi członami swojego pełnego nazwiska, wygrał w grudniu 2005 roku wybory i na początku stycznia 2006 został

prezydentem, był to pierwszy raz w nowoczesnej historii, kiedy boliwijski lud na najwyższym urzędzie w państwie, w Palacio Quemado w La Paz, zobaczył człowieka, który wygląda i mówi jak oni. Przywódca związkowy, Indianin Ajmara, mówiący oprócz hiszpańskiego językami ajmara i keczua, wychowany w domu z gliny, rolnik hodujący lamy i uprawiający tradycyjną w Andach kokę.

Przewyciężyć neoliberalizm

Z dyplomatycznych przecieków opublikowanych przez WikiLeaks wynika dość jasno, że Morales był drugim po Chavezie najbardziej znienawidzonym przez Waszyngton przywódcą „różowej fali” – i drugim najaktywniej przez Waszyngton podminowywanym. Zaczęło się zanim nawet przejął władzę, kiedy dopiero kandydował: amerykańscy dyplomaci w La Paz już pisali do centrali o ubiegającym się o władzę „nielegalnym farmerze koki”, bardzo niebezpiecznym. Waszyngton przeczuwał, że jego dojście do władzy może w Boliwii oznaczać koniec neoliberalizmu. W Boliwii oznaczał on przede wszystkim prywatyzację (czyli przekazywanie głównie amerykańskim korporacjom) kolejnych naturalnych zasobów i usług publicznych w kraju, od telekomunikacji po wodę. Ta ostatnia doprowadziła do słynnych protestów w Cochabambie znanych jako „wojna o wodę” (1999-2000). Kolejna z serii prywatyzacji doprowadziła w pierwszych latach XXI wieku do zrywu (tym razem „wojny o gaz”), który złożył się na falę społecznego oporu, jaka ostatecznie wyniosła Moralesa do władzy.

Jankesi mieli rację, Morales przyszedł do Palacio Quemado, żeby położyć kres dwudziestoleciu neoliberalnej grabieży kraju. Pierwszą amerykańską reakcją było: zakręcimy kran z międzynarodowymi kredytami (z Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Międzyamerykańskiego Banku Rozwoju). Ale Morales nie chciał dla Boliwii więcej takich kredytów, widząc w nich instrument wiążący ręce rządów krajów globalnego Południa.

Socjalizm, Indianie i Matka Ziemia

Warto tutaj może przytoczyć pełną nazwę MAS. Trzy pierwsze litery oznaczają Movimiento al Socialismo, Ruch na rzecz Socjalizmu, ale potem jest jeszcze drugi człon: Polityczny Instrument Suwerenności Ludów. Morales mówił o socjalizmie nie z przyzwyczajenia właściwego wypranym z idei socjaldemokracjom europejskim. Nie mylił go z drobnymi korektami panującego systemu, które na ogólne kapitalistyczne ramy nie próbują się nawet porywać.

Morales wielokrotnie – również po przejęciu władzy, również na arenie międzynarodowej – mówił o konieczności przekroczenia i przewyciężenia kapitalizmu jako reżimu, który swoją żarłoczną pogonią za zyskiem morduje naszą żywicielkę, Matkę Ziemię. Jej granice i moce odtwarzania naturalnych bogactw, w przeciwieństwie do apetytów kapitału, są skończone, ograniczone, nierozciągalne. Pachamama – tego słowa używał, mówiąc o niej. Słowa zaczerpniętego z autochtonicznych języków ludów swojego kraju, słowa za sprawą dyplomacji jego rządu włączonego do dyskursu instytucji międzynarodowych.

Pięknoduchostwo? Jak na pięknoducha, a może właśnie dzięki temu, że nim jest, Morales udowodnił przez kilkanaście lat, że potrafi się też zająć sprawami, nomen omen, przyziemnymi. Zanim doszedł do władzy, Boliwia była notorycznie nie tylko jednym z najbiedniejszych krajów Ameryki łacińskiej, ale także jednym z tych o konsekwentnie najniższym wzroście gospodarczym. Przez kilkanaście lat rządów Moralesa roczny PKB jego kraju wzrósł ponad czterokrotnie, a w pięciu spośród tych lat Boliwia zajęła pierwsze miejsce w regionie pod względem tempa wzrostu.

Pytany na międzynarodowych forach przez polityków z sąsiednich państw, jak to zrobił, jak można w latynoamerykańskich warunkach uzyskiwać tak długo takie tempo wzrostu, odpowiadał: to proste, trzeba znacjonalizować kluczowe bogactwa naturalne

i traktować dostęp do podstawowych usług społecznych jak prawo człowieka.

Morales naprawdę tak to właśnie czynił. Jego rząd nacjonalizował zasoby, z zasady wykluczał z dostępu do nich korporacje amerykańskie, a z zysków finansował ogólnonarodowe programy społeczne, zatrudnienie i wzrost płac. Dzięki tym programom skutecznie walczył z analfabetyzmem i wyprowadzał z biedy swoich indiańskich braci i siostry, oferując im jednocześnie awans symboliczny i godnościowy wykraczający daleko poza odwołania do Pachamamy na Zgromadzeniu Ogólnym ONZ.

Przyznał im status równoprawnych narodów Boliwii. Nowa konstytucja z 2009 przemianowała kraj na Wielonarodowe Państwo Boliwii, odtąd także oficjalnie świeckie. Morales zrównał tradycyjną flagę andyjskich Indian, tęczową mozaikę znaną jako wiphala, z dotychczasową flagą narodową ustanowioną przez białe elity; uczynił ich języki urzędowymi a także otworzył przed indiańskimi społecznościami przestrzeń kontroli nad ich lokalnymi sprawami. Wiele indiańskich kobiet dopiero pod jego rządami mogło bez wstydu udać się do urzędu w najbliższym mieście w swoim normalnym, codziennym, tradycyjnym stroju i załatwić tam swoje sprawy nie udając kogoś innego. Morales stawiał czoła amerykańskiej „wojnie z narkotykami”, widząc w niej pretekst do amerykańskiego gmerania w wewnętrznych sprawach innych państw i broniąc praktyk wpisanych głęboko w kulturę żujących kokę społeczeństw wysokich Andów. Bywało, że oferował liście koki swoim oficjalnym gościom.

Morales wprowadzał zmiany w trybie postępujących reform, a nie rewolucji, ale pod wieloma względami był i tak najbardziej radykalnym przywódcą „różowej fali”. Inaczej niż Lula (łączy ich brak akademickiego wykształcenia), nie bał się nazywać kapitalizm i stosunki klasowe po imieniu. W przeciwieństwie do Luli w Brazylii, rozumiał, że fantazja o wyrównaniu nierówności wygenerowanych przez kapitalizm bez naruszenia samego kapitalizmu, w pakcie z samym diabłem, czyli z

oligarchami, jest na dłuższą metę marzeniem ściętej głowy. W przeciwieństwie do Chaveza, rozumiał, że to samo dotyczy wyrównywania tych nierówności w nieskończoność dochodami ze sprzedaży jednego surowca na kapryśnym rynku światowym. Więcej: rozumiał, że sam model gospodarki polegający na ekstrakcji surowców energetycznych i niczym więcej, jest problemem a nie rozwiązaniem.

Imperium krytyki

łączył emancypację nowoczesną, za punkt odniesienia mającą dążenie do socjalizmu, z przywracaniem godności, rewindykacją potencjałów przednowoczesnych przekonań, systemów wartości i podmiotowości ludów dotychczas – przez minionych pięćset lat – kolonizowanych, traktowanych jako przedmiot historii kształtowanej przez białego człowieka. Elokwencja tej kombinacji sprawiała, że był głosem ludu nie tylko boliwijskiego, ale i innych niegdyś skolonizowanych społeczeństw globalnego Południa.

A jednak krytyka spotykała go nie tylko ze strony globalnych elit neoliberalnych i lokalnych elit rasistowskich, ale także światowej lewicy. Ta opisująca się jako „radykałna”, „antysystemowa” czy „ekologiczna” – choć był w praktyce bardziej radykalny od Chaveza i Luli – miała mu za złe, że nie „rozwiązał” od razu burżuazji, nie ustanowił z dnia na dzień doskonale neutralnego klimatycznie komunizmu, albo że nie ma żadnej różnicy między sprzedawaniem surowców korporacjom amerykańskim a dostarczaniem ich Chinom. Ta bardziej centro- i „antyautorytarna”, że nie oddał władzy po dwóch kadencjach, nie przejmując się tym, że zarówno jego ruch, jak i większość Boliwijczyków, chcieli, by kontynuował urząd.

Vijay Prashad, indyjski historyk i dziennikarz z The Tricontinental Institute krytykował wielokrotnie szczególną szkodliwość takiego braku solidarności europejskiej i amerykańskiej lewicy, która zza klawiatur swoich komputerów

zawsze wie lepiej, bo nic nie ryzykuje. Lekceważy materialne i społeczne ograniczenia, jakim rządy zacofanych, słabych, peryferyjnych krajów muszą stawiać czoła. Odziedziczyły po minionych pokoleniach strukturę gospodarki, której nie zmienia z dnia na dzień, wypowiadając tylko takie życzenie, a społeczną transformację trzeba jakoś sfinansować i wykonać jakimiś realnymi siłami. 11-milionowa republika w Andach dysponuje mniejszymi siłami i funkcjonuje w innym międzynarodowym otoczeniu niż Francja czy Niemcy. Dla ruchów emancypacyjnych globalnego Południa taka niecierpliwa i nielojalna lewica bywa de facto takim samym ciężarem jak jawni wrogowie.

Skoro już się skrzywiła na widok nieczystości materii na jego dłoniach, ogromna część takiej lewicy za dobrą monetę przyjęła też inne wątki międzynarodowej neoliberalnej ofensywy propagandowej wymierzonej w Moralesa. Autorytaryzm! Zamachy na wolności obywatelskie! Ataki na opozycję! Ekspulsje dyplomatów!

Dobra, dobra – ale co to tak konkretnie za opozycja? Co to za dyplomaci?

„Dyplomaci” Waszyngtonu

Od samego początku – odkąd okazało się, że Moralesa nie uda się przywołać do neoliberalnego porządku znaną metodą na kredyty z MFW, amerykańscy dyplomaci w La Paz spiskowali z najbardziej reakcyjnymi elementami boliwijskiej prawicy i oligarchii (wiemy to dzięki WikiLeaks), otwarcie rozważając rozpętanie przemocy na ulicach, możliwości obalenia rządu czy scenariusze „na wypadek” śmierci Moralesa. Doprowadziło to do ogłoszenia amerykańskiego ambasadora Philipa Goldberga persona non grata we wrześniu 2008.

Skoro nie udało się międzynarodowymi kredytami, instrumentem koordynującym próby sabotowania rządów Moralesa stała się amerykańska agencja służąca „pomocą rozwojową”, USAID.

Ponieważ Morales nie godził się na stawianie mu warunków w rodzaju, jaką politykę ekonomiczną może prowadzić, zaczęła ona obchodzić rząd w stolicy i paktować z politykami we władzach regionów. Szczególnie tych, w których istniały silne prawicowe tendencje separatystyczne; tych, z których lokalnymi elitami można było knuć małe prawicowe rebelie; tych, w których było sporo białych studentów z zamożnych rodzin, na których uliczną energię i gardłowanie o „dyktaturze Moralesa” można było liczyć. Koniec końców, w 2013 USAID również została wydalona z Boliwii.

Dziś trudno mieć wątpliwości, że siłą, która w takich warunkach utrzymywała parasol bezpieczeństwa nad lewicowymi rządami w mniejszych państwach kontynentu, była Brazylia pod rządami Luli da Silvy i Dilmy Rousseff. Wówczas krytykowana za regionalny imperializm, używała jednak swoich gospodarczych i szybko rozwijanych militarnych muskułów także w tym celu, by skutecznie uniemożliwić Waszyngtonowi obalenie lewicowych rządów w jej bezpośrednim sąsiedztwie. Dlatego Amerykanie włożyli tak wiele cierpliwego wysiłku w przygotowanie z brazylijskimi oligarchami śledztwa Lava Jato, impeachmentu Rousseff i uwięzienia Luli na czas wyborów prezydenckich, by mógł je wygrać Jair Bolsonaro. Załamywać zaczęły się wówczas i pozostałe lewicowe rządy w Ameryce Południowej.

Skradziona republika godności

Kiedy w listopadzie 2019 prawica obaliła w Boliwii rząd MAS, brazylijski ambasador był nawet w pokoju, w którym przejmująca władzę klika postanowiła, że Moralesa zastąpi Madame Áñez. Nie była nawet liderką oligarchicznej opozycji, po prostu nikogo lepszego nie było akurat pod ręką, a czas naglił. Brazylia Bolsonaro poparła zamach stanu w zamian za tańsze niż za Moralesa dostawy boliwijskiego gazu dla Petrobrasu. Jednak kluczowe były najpewniej kolosalne boliwijskie złoża litu (70 proc. światowych zasobów) potrzebne korporacjom amerykańskim na baterie „zielonego kapitalizmu” przyszłości. Rolę, którą

korporacja AT&T odegrała w zamachu stanu w Chile w 1973 roku, w Boliwii roku 2019 odegrała Tesla. Jej pozujący na wizjonera prezes Elon Musk przyznał to otwarcie na Twitterze.

Brała w tym też udział zdominowana przez Waszyngton Organizacja Państw Amerykańskich, która sfabrykowała raport kwestionujący wyniki wyborów prezydenckich z 20 października 2019. Raport został później obalony, między innymi przez amerykańskich badaczy – ale wtedy było już za późno. Oligarchiczna, neoliberalna prawica zdążyła go wykorzystać jako pretekst do wywołania brutalnych zamieszek, które zmusiły Moralesa do rezygnacji nie tylko z kolejnej kadencji, którą właśnie zdobył wyborczym zwycięstwem, ale nawet przed wygaśnięciem kadencji, która miała trwać do końca 2019 roku.

Udziału za to w żaden sposób – choćby zabierając głos – nie wzięła większość europejskiej i amerykańskiej lewicy. Znieczulona naiwnym i powierzchownym „autorytaryzmem” neoliberalnego mainstreamu, postanowiła temu mainstreamowi uwierzyć. Także w to, że rasistowskie, paramilitarne bojówki podpalające na ulicach miast indiańskie wiphale to „demokratyczna opozycja” protestująca przeciwko „dyktaturze” i „sfałszowanemu wyborom”. Były wyjątki – Jeremy Corbyn, amerykańskie pismo „Jacobin” – ale były to wyjątki.

11 listopada Morales został ewakuowany do Meksyku przez lewicowego prezydenta kraju, Lopeza Obradora. Nie było pewne, że ta operacja się powiedzie. Amerykanie zmobilizowali wszystkie prawicowe rządy w Ameryce Południowej, żeby zamknęły przed nim przestrzeń powietrzną lub pomogły go przechwycić. Obecnie Morales przebywa w Argentynie – dyktatura Áñez zapewniła, żeby sądy nie pozwoliły mu już tym razem startować. Gdyby wrócił do kraju, mógłby stracić życie. Dlatego z ramienia MAS startuje Luis Arce.

W najbliższych dniach na wielkiej przestrzeni wokół La Paz, Cuzco, Santa Cruz i Cochabamby, pomiędzy Andami i Amazonią, rozstrzygnie się znacznie więcej niż tylko przyszłość jednego

odległego kraju o populacji porównywalnej z Czechami. Rozhulana przez Imperium Dolara wielka reakcyjna fala zalewająca zachodnią półkulę albo nabierze rozpędu, albo rozbije się w końcu o przeszkodę i doda innym, którzy z nią walczą, otuchy i siły.

Autorstwo: Jarosław Pietrzak

Źródło: Strajk.eu